

Elżbieta Ossolińska-Rives

A JEDNA BĘDZIE CI ODEBRANA...

W Y D A W N I C T W O W A M

© Wydawnictwo WAM, 2011

Korekta: Anna Szumska, Barbara Cabała

Projekt okładki: Jadwiga Mączka

Skład: EDYCJA

ISBN 978-83-7505-719-5

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 43 03 210

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA

tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447

faks 12 62 93 261

e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Auu, auu, auu!!!

Wanda zerwała się przerażona.

Auu, auu, auu! Chłopcy? Boso pobiegła do pokoju synów, zapaliła lampkę, ale chłopcy spali spokojnie.

Auu, auu, auu! Płacz był rozpaczliwy. Niemowlę? Skąd? Gdzieś u sąsiadów? Ale słyszała je tu, w domu.

Auu, auu, auu! Zadrżała z chłodu i zdenerwowana wróciła do sypialni, włożyła kapcie i szlafrok. Marek spał, lekko pochrapując, ale jego nic łatwo nie budziło. Poszła ponownie do synów, ale chłopcy nadal spali spokojnie, nawet się nie poruszyli.

Auu, auu, auu! Obiegła mieszkanie, okna – wszak to już początek listopada, chłodno – były pozamykane, a z tego, co wiedziała, choć mieszkali tu od niedawna, oprócz jej chłopców i okołodziesięcioletniej dziewczynki w drugim końcu niewielkiego osiedla nie było żadnych dzieci, a tym bardziej niemowląt.

Auu, auu, auu! Podbiegła jednak do okna, wyjrzała przez jedno, drugie, ale wszędzie było ciemno, w żadnym domu nie dojrzała ani odrobiny światła.

Auu, auu, auu! Wróciła do sypialni.

– Marek, Marek, obudź się! – zaczęła szarpać męża i właśnie w tym momencie coś jakby zazgrzytało raz i drugi i wszystko ucichło.

10

Marek coś zamamrotał, przekręcił się na bok i spał dalej. W mieszkaniu zapanowała – niczym niezmacona teraz – cisza. Wanda, drżąc, poszła do chłopców – nadal spali spokojnie, zgasiła lampkę i roztrzęsiona poszła do kuchni. Zdenerwowana usiadła przy stoliku, machinalnie spojrzała na zegar: druga... Serce stanęło jej na moment. Nie, to niemożliwe, ale przecież obudził ją rozpaczliwy płacz, słyszała go, biegając przez kilka, kilkanaście minut po mieszkaniu, przecież słyszała go cały czas. Boże, Boże, nie! Ale chciało jej się płakać.

Rano wszystko leciało jej z rąk, Marek – wyspany – zauważył wreszcie, że coś jest nie tak, ale nie chciała mówić przy chłopcach.

– Musimy porozmawiać, ale wieczorem, jak chłopcy zasną.

– Stało się coś? No, dobrze, ale mam dziś naradę, wrócę trochę później. No, chłopaki, kończyć śniadanie i zbierać się, bo zaraz na Modlińskiej będzie taki korek, że się nie przebijemy.

W pracy nie mogła się skupić – ciągle dźwięczał jej w uszach ten rozpaczliwy płacz. W końcu i kierownik zauważył, że coś się z nią dzieje: powiedziała, że źle się czuje, więc zwolnił ją nieco wcześniej. Zatelefonowała do matki, że sama odbierze chłopców z przedszkola i zdążyła z nimi na autobus do Olszewnicy, nie musiała człapać do domu z Chotomowa. Chłopcy rozrabiali jak zwykle, albo nawet bardziej, ale nie zwracała uwagi; była skoncentrowana na swoich nocnych przeżyciach. No i czy Marek to zrozumie?

Ale Marek po swojej naradzie wrócił późno – chłopcy już szli spać – zmęczony.

– Ja też idę zaraz spać, jestem wykończony! Ale mam dobrą wiadomość: mój projekt wszyscy zaakceptowali, może kapnie trochę grosza, będziemy mieli na piękne wakacje, pojedziemy gdzieś w tropiki – pocałował ją i rzucił się do stołu. – Głodny jestem jak wilk – widząc u żony brak entuzjazmu, spytał jednak zdawkowo – chciałaś mi coś powiedzieć?

Ale to może jutro, dziś już na nic – zaakcentował to „na nic” – naprawdę nie mam siły.

Wanda z ponurą miną zaczęła sprzątać kuchnię.

– No to mów – powiedział – co się stało? O co chodzi? – ale widziała, że Marek prawie zasypia przy stole.

– Dobrze, jutro porozmawiamy – w takim stanie zlekceważy wszystko: powie, że coś jej się przyśniło albo przywidziało.

– No, dobrze, to jutro – i już spał. Po chwili otworzył jednak oczy i wymamrotał sennie. – Powiedz teraz, o co chodzi, bo widzę, że chyba coś się dzieje. W pracy?

– Słuchaj, Marek, chyba jednak źle zrobiliśmy.

– Co źle? Mów jaśniej, my? O co chodzi? Wanda wzięła głęboki oddech.

– Wczoraj o drugiej w nocy obudził mnie głośny, rozpaczliwy płacz malutkiego dziecka, tu, w domu, oczywiście nie chłopcy.

– Co ty mówisz? – Marek nie krył zdumienia. – Jakiego dziecka? Mówisz, że nie chłopcy. W nocy? Gdzie w domu? U nas?

– No, mówię przecież, u nas w mieszkaniu, w nocy, o drugiej w nocy.

– Co ty bredzisz? Coś ci się przyśniło?

– Nie, słyszałam wyraźnie płacz dziecka u nas w domu i dlatego myślę, że bardzo źle zrobiliśmy – to musiał być jakiś znak.

– Co ty opowiadasz?

– No nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi! Wczoraj był dziesiąty, dziesiąty listopada!

– No to co? O czym ty mówisz?

– Dziesiątego listopada w zeszłym roku, a to dziecko wczoraj w nocy – płakało!!! Rozpaczliwie płakało!

– Jakie dziecko? Mówisz, że chłopcy spalili! – czyżby Markowi już wszystko wywiało z głowy?

– Mówię o aborcji!!! – krzyknęła.

– Co ty opowiadasz? – Marek był zdumiony i zdezorientowany. On już chyba rzeczywiście o tym zapomniał, chyba całkowicie wymazał to z pamięci. Wanda zaczęła płakać.

– Mówię o tym naszym dziecku rok temu i mówię, że chyba źle zrobiliśmy, ono wczoraj tak rozpaczliwie płakało, zabiliśmy nasze dziecko...

Marek z niepewną miną podszedł do żony.

– Chodź, połóżmy się, zmęczona jesteś – przezornie nie powiedział, że coś jej się uwidziało, ale Wanda wiedziała, że on właściwie nie rozumie, o co jej chodzi, i nie ma pojęcia,

jak na te jej słowa – dziwaczne dla niego – zareagować.

– Przyśniło ci się? – zaryzykował – sen taki miałaś niedobry?

– Przyśniło! – wybuchnęła Wanda. – Przyśniło? Biegałam po mieszkaniu przez kilkanaście minut przerażona i zziębnięta, ono płakało, a ciebie dobudzić nie mogłam!

14

– No, ale – zająknął się Marek – przecież to niemożliwe, jak mogło płakać, skoro go nie ma, może to gdzieś u sąsiadów?

– U jakich sąsiadów? Przecież tu nie ma żadnych dzieci i wszędzie było ciemno, a zresztą słyszałam płacz w naszym mieszkaniu, a nie u sąsiadów.

– No to już nie wiem co, trzeba było mnie obudzić!

– Chciałam, ale spałeś tak mocno, a potem wszystko ucichło, zgrzytnęło i ucichło, źle zrobiliśmy, źle, czuję to.

– Inni też to robią i świat się nie zawalił.

– Jeszcze – powiedziała Wanda przez łzy – jeszcze.

I były to prorocze słowa, niestety. Bo świat już się zaczął chwiać, przynajmniej dla Wandy.

W ciągu następnych dni Wanda wiele razy wracała do tego – również dla niej niezrozu-

miałego – zdarzenia. W końcu zniecierpliwiony Marek stwierdził, że mleko rozlane, szklanka stłuczona i nie ma co już tego rozpamiętywać: było, minęło.

– Nic już nie da się zmienić, przestań w końcu o tym myśleć i się zadrećzać; skup się raczej na tym, co teraz ważne i istotne.

A było na czym. Kilka tygodni temu tata Wandy miał udar i był częściowo sparaliżowany, mama Wandy, choć się bardzo starała, nie zawsze mogła – tak jak by chcieli – pomóc w opiece nad bliźniakami. Chłopcy chodzili co prawda do przedszkola na Bemowie, niedaleko babci, która zabierała ich do siebie na popołudnia. Marek i Wanda kończyli pracę o różnych porach i chłopcy czekali na nich u babci, a często nawet u niej nocowali, co zresztą bardzo lubili. Teraz, w związku z chorobą dziadka, stanowiło się to jednak duże obciążenie dla mamy Wandy. Nie narzekała i nic na ten temat nie mówiła, ale to było oczywiste.

– A zresztą, jak ty sobie to wyobrażałaś? – zaatakował ją w końcu Marek – przeprowadzka, urządzenie się, wożenie chłopców do przedszkola i jeszcze niemowlę. Może źle, ale w końcu razem zdecydowaliśmy i koniec. – Coraz

bardziej go denerwowały uwagi i rozważania Wandy na temat nocnego wydarzenia i okazywał jej coraz większe zniecierpliwienie. – Wreszcie się jakoś odkuliśmy, chłopcy podchowani, i mielibyśmy zaczynać znowu od początku? Pieluchy, płacze w nocy i tak dalej, zupki, kaszki, kupki?

– Ale to nie o to chodzi, w końcu byśmy sobie jakoś poradzili.

16

– Jakoś? Jak? Zresztą inni też to robią!

– A co mnie obchodzą inni? My chyba odpowiadamy za siebie, a nie za innych.

– Ach, daj już spokój! – i tak się kończyły coraz częściej ich rozmowy.

Ale rzeczywiście wszystko się jakoś zbiegło prawie w jednym czasie: budowa domu, przeprowadzka, opieka nad chłopcami – nie chodzili do żłobka – w końcu choroba ojca Wandy.

Dzięki rodzicom Marka, którzy dali im trochę pieniędzy, mogli wybudować sobie, nieduży co prawda, dom w – jak ochrzciły media ich osiedle – polskim Beverly Hills. Rzeczywiście tu, w Dąbrowie Chotomowskiej, mieszkali raczej zamożni ludzie. Oni byli najbiedniejsi, i w dodatku z dziećmi. Rodzice Marka wyjechali w czasie jego studiów do USA, tam

się dorobili, dali więc synowi i synowej trochę pieniędzy, resztę załatwił kredyt w banku.

Początkowo wszystko im się dobrze układało, mieli dobre stanowiska, udane, zdrowe dzieci, i choć zaraz po ślubie gnieździli się razem z rodzicami Wandy, to po urodzeniu Bor-ka i Bercika rodzice bardzo pomagali w opiece nad chłopcami. Marek próbował trochę działać w lokalnej polityce – nawet z niewielkimi sukcesami, aż Wanda chwilami nieco się obawiała, że za łatwo, za dobrze, jedyne problemy to – rzadkie w dodatku – niewielkie przeziębienia chłopców. Ale nagle zaczęły się pojawiać drobne rysy na tym pięknym i nieskazitelnym do tej pory rysunku ich małżeństwa. Matka Wandy uważała zresztą, że jakoś tak za lekko podchodzą do życia, za dużo biorą, mało dając innym. Nigdy nie włączali się do akcji charytatywnych, dbali wyłącznie o siebie i swoje sprawy.

– Ale my się dopiero urządzamy w życiu – oponował nieraz Marek – jak staniemy mocno na nogi, to zajmiemy się innymi.

– Możecie w końcu nie zdążyć – ripostowała.

Jednak faktycznie myśleli właściwie tylko o sobie, o swoich potrzebach i przyjemnoś-

ciach. Ile dasz, tyle odbierzesz – mawiała Helena. Matka Wandy była osobą głęboko religijną i absolutną altruistką, jej potrzeby były zawsze ostatnie. Pomagała przy chłopcach, teraz pielęgnowała ciężko chorego męża, do niedawna pracując jeszcze na kawałku etatu. Była na każde zawołanie i nigdy nie narzekała ani się nie skarżyła. A oni to często lekko i niefrasobliwie wykorzystywali.

I właśnie na tym zachwycającym innych, nieskalanym do tej pory rysunku ich życia zaczęły się pojawiać rysy i pęknięcia: zaczął chorować ojciec Marka – miał zawał, potem ojciec Wandy dostał udaru i był częściowo sparaliżowany; rehabilitacja pomogła na tyle, że trochę się poruszał z pomocą po mieszkaniu, ale opieka była mu niezbędna, co przekładało się na więcej obowiązków dla Heleny.

A teraz to nie do końca zrozumiałe nocne wydarzenie: jakiś znak, przestroga, ostrzeżenie? Wanda była wierząca, tak została wychowana, Marek zresztą też, ale ta ich wiara była raczej „letnia”. Wierzyli oczywiście w Boga, w niedzielę i święta chodzili do kościoła, chyba że coś im wypadło albo przeszkodziło: impreza, spotkanie, choroba któregoś bliźniaka. To w końcu Helena nauczyła

chłopców pacierza, to Helena wstępowała z nimi na chwilę do kościoła podczas spaceru, to Helena zadbała o chrzest bliźniaków. Teraz, gdy mieszkali tu, w Dąbrowie Chotomowskiej, to Helena prowadziła ich na msze do Chotomowa, gdzie był najbliższy kościół, a był to spory spacer, ponad pół godziny w jedną stronę. Ale chłopcy to uwielbiali, nie chcieli jeździć samochodem, woleli chodzić z babcią.

Oczywiście o zeszłorocznej aborcji nie powiedzieli Helenie – zamartwiłaby się pewno na śmierć – i teraz Wanda czuła się zagubiona: matce nie mogła i nie chciała się zwierzyć, zwłaszcza że ojciec był tak ciężko chory, a z Markiem nie było już rozmowy: osądził, podsumował i koniec. Było, minęło, nic już – zrozum to wreszcie – nie zmienimy. Tu miał rację.

Zresztą do tego nocnego wydarzenia Wanda też mniej więcej tak podchodziła, wepchnęła je gdzieś do podświadomości i nie myślała o nim więcej.

Ale teraz – w końcu była wierząca – popełniony grzech zaczął jej ciążyć coraz bardziej; chciała iść do kościoła do spowiedzi. Tyle kobiet też to robi, i to nieraz kilkakrotnie, a ona

tylko ten jeden raz... O jeden za dużo – podpowiadało jej sumienie – i zrobiłaś to ze względu na własną wygodę, wyłącznie. Grzech nie przestaje być grzechem, dlatego że wielu ludzi go popełnia. Wanda dobrze wiedziała, że katolik powinien kierować się w życiu tym, co głosi Ewangelia, a nie tym, co modne, postępowe, nowoczesne, i tym, co robią inni.

Tygodnie mijają, zdarzenie przybladło, choć pozostał jakiś nieokreślony niepokój wewnętrzny, tłumiony pracą, codziennymi obowiązkami, doraźnymi problemami, których mieli sporo. Ich piękne osiedle, składające się z kilkunastu domów, otoczone lasem i polem, nie miało ulic, latarni, sklepów, nie mówiąc już o takich dobrach, jak dostęp do Internetu czy kanalizacji i komunikacji. Jesienią do autobusu w Chotomowie – prywatnego zresztą, bo państwowy dojeżdżał tylko do Legionowa – brnęło się 30–40 minut po kostki, a nawet miejscami po kolana w błocie, trzeba było brać drugą parę obuwia, żeby potem jakoś w Warszawie wyglądać. Oczywiście daleko idące zmiany na lepsze były w planach, ale plany realizuje się w różnych terminach. Wszyscy tu mieszkający mieli rzecz jasna samochody, ale jeżeli Marek dłużej pracował, to

Wanda z chłopcami wracała autobusem. Były co prawda wprowadzone 2–3 kursy autobusów dziennie do Olszewnicy, wtedy do osiedla przez las było kilka minut, ale trzeba było na taki kurs trafić. A samochodem godzinami stało się w korkach na Modlińskiej.

Zima jednak jakoś minęła. Modlińską zaczęto poszerzać, zrobiono nawet buspas, więc autobusem szybciej się dojeżdżało, w Dąbrowie zaczęto asfaltować jedyną ulicę, postawiono kilka latarni, pojawił się jeden sklepik spożywczy, wszystko zaczęło się po trochu stabilizować. Codzienne problemy coraz bardziej zagłuszały nocny płacz i wyrzuty sumienia; a spowiedź Wanda odkładała na jakieś bliżej nieokreślone „później”. I tak dni mijały, wypełnione obowiązkami i pośpiechem. Wanda pracy miała sporo, ale lubiła ją, więc nie narzekała; była nawet mowa o awansie, jednak ze względu na chłopców, chorego ojca i dojazdy nie zdecydowała się w końcu.

Obowiązków zawodowych miała dużo, zresztą nie tylko ona, firma przygotowywała się do jubileuszu, więc wszyscy ciężko pracowali, tym bardziej że udało się załatwić wyjątkowo korzystną umowę z japońskim kontrahentem. W związku z tym przyjęto kilku

nowych pracowników i wiosną w dziale Wandy również pojawiła się nowa osoba: energiczna singielka – z wyboru – jak powiedziała. Potrafiła dużo załatwić, i to szybko, używając nieraz osobistych wdzięków, a miała ich sporo: rude włosy, zielone oczy, długie nogi, odpowiedni biust, potrafiła się ubrać, no i starała się być miła, choć miała władcze zapędy. Była też kompetentna i знаła biegle trzy obce języki. Wandzie się spodobała, potrafiła docenić jej pracę, choć niektóre zawistne koleżanki obmawiały ją za plecami: niby singielka z wyboru, a strzela oczami na prawo i lewo – co jednak nie było prawdą – pewnie poluje na bogatego chłopca albo nadzianego sponsora, no bo czemu ciągle zmienia pracę. Faktycznie, podobno – jak mówiła – pracowała w kilku znaczących instytucjach, a dobiegała trzydziestki. Ale Wanda ją lubiła, tym bardziej że nowa kilka razy zgodziła się po koleżeńsku, bezinteresownie ją zastąpić, gdy musiała wyjść nieco wcześniej po chłopców. „To właśnie takie kobiety – myślała Wanda – jak Tamara, bo tak miała na imię nowa pracownica, upiększają świat”.

Życie płynęło dalej.